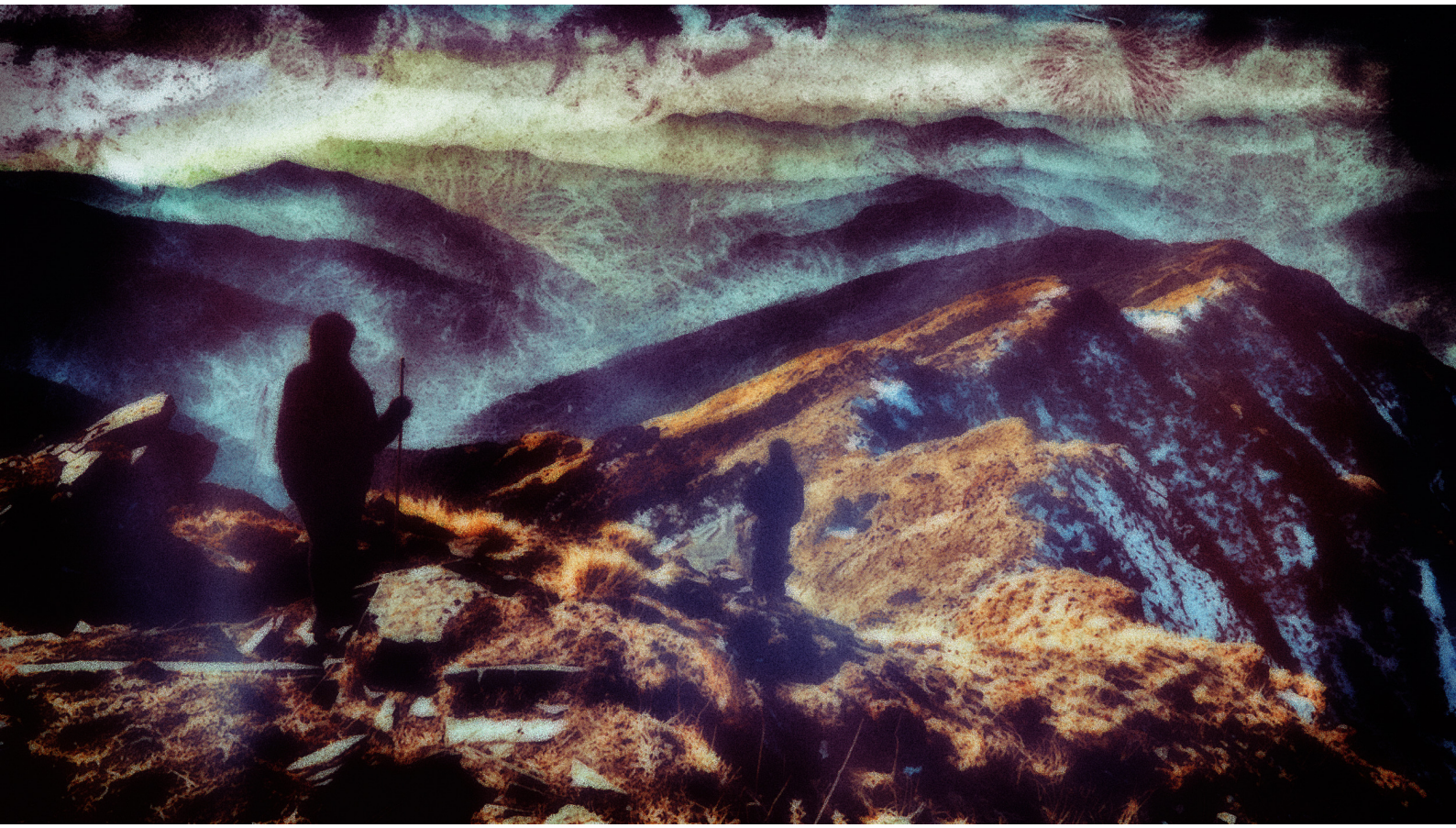

Emil Gieras "Kim jesteśmy?"

nimfa bagienna

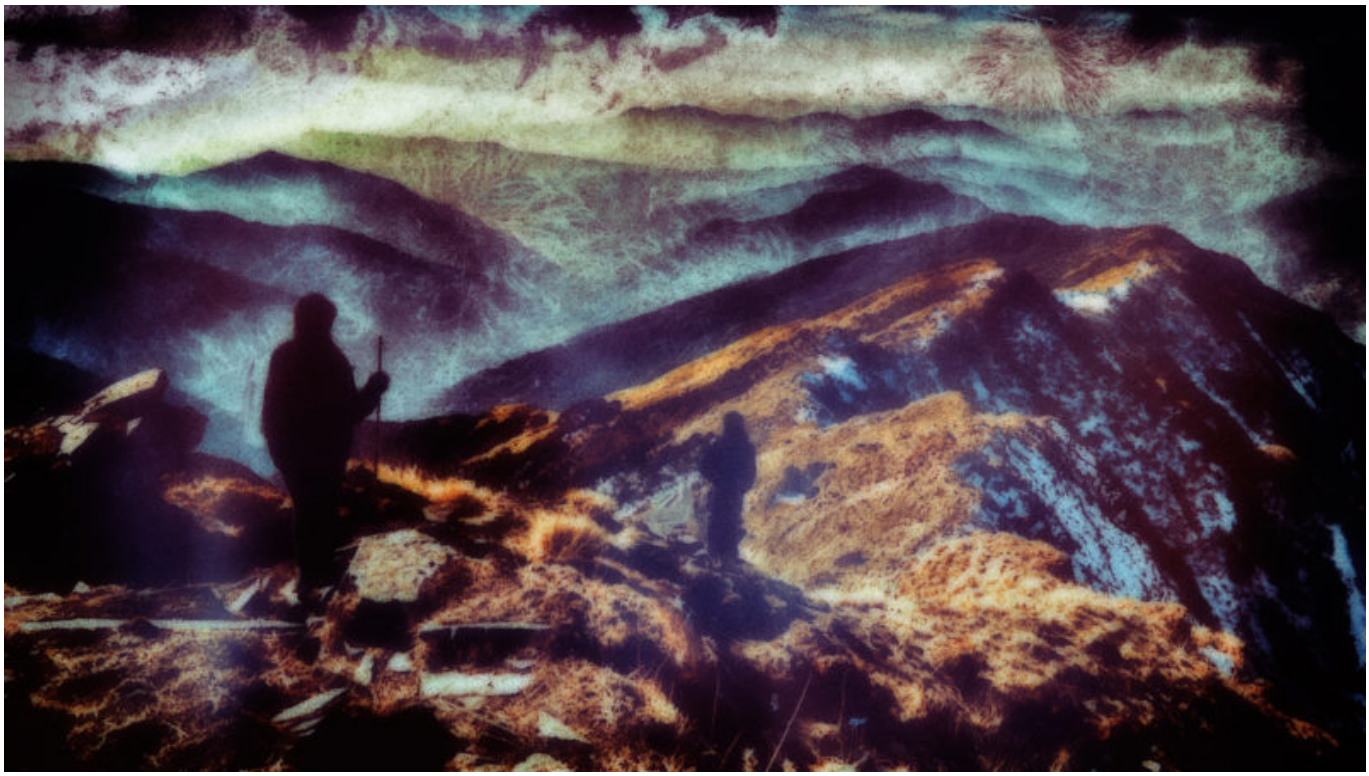

Mężczyzna dźwignął się na nogi i oparł o skalną ścianę. Z trudem oddychał gryzącym, palącym powietrzem. Starając się zachować spokój, lustrował otoczenie.

Przestronną, wysoką jaskinię oświetlała krwawa łuna sącząca się przez rosochate bruzdy, jakimi naznaczony był cały jej spąg. W powietrzu wirował leniwie czarny pył, rysując delikatne, drżące spirale przetykane wstęgami poszarpanego dymu. Było piekielnie gorąco. Cuchnęło siarką i rozgrzanym żelazem.

Mężczyzna zatoczył się. Z trudem ogniskował wzrok. Poszarpane skały straszyły ostrymi zębiskami, gdzieniegdzie lśniły złowrogo odbitym światłem, by w innym miejscu spiętrzać się w postaci jasnoszarej zastygłej piany. Na ziemi leżało kilka zielonoskórych trupów i trochę podróżniczego sprzętu w nieładzie.

Truchła nie budziły w nim żadnych emocji. Otrzepał się z piachu i okruchów żużlu. Obmacał pobieżnie członki i korpus. Czuł przerażające zmęczenie, to prawda, lecz poza tym nic go nie bolało, nie dostrzegł też żadnej kontuzji. Przeciągnął się, wyprostował do granic możliwości, aż coś chrupnęło mu w krzyżu, po czym zrobił kilka przysiadów. Wszystkie mięśnie i kości działały jak należy. Nasiliły się jedynie problemy ze złapaniem oddechu. Nienajgorzej, zupełnie nienajgorzej. Byłoby jeszcze lepiej – westchnął – gdyby pamiętał, kim jest i co tu, na bogów, robi. Tak, to byłoby całkiem wskazane.

Przyjrzał się sobie. W czerwonym blasku nadającemu wszystkiemu wygląd rdzy lub polerowanej miedzi widział zniszczoną tunikę sięgającą za kolana i wysokie, skórzane buty porządnej roboty. Szczupłe przedramiona zdobiły złote bransolety imitujące wijące się smoki, zaś wypielęgnowane dłonie – masywne pierścienie. Kasztanowe włosy, opadające na ramiona, miał poprzetykane kolorowymi paciorkami z kamieni szlachetnych i ażurowymi wałkami ze srebrnej nici. Uśmiechnął się

w duchu. Był zamożny, wiedział o sobie przynajmniej tyle.

Podszedł do jednej ze szczelin w podłożu. Tak jak się spodziewał, głęboko pod nim kotłowała się magma, przelewając w niekończących się zapasach pasm czerwieni, czerni i złota, co i rusz strzelając w górę bukietem iskier. Góra Ognia, wnętrze wulkanu, to miejsce, do których człowiek nie trafiał przypadkowo, nie wybierał się też na wakacje z ukochaną czy piknik z okazji letniego przesilenia. Zapewne powierzono mu jakąś misję, sęk w tym, że nie miał pojęcia jaką.

Zmrużył oczy, na powrót przyzwyczajając wzrok do panującego półmroku i cieni tańczących na skalnych ścianach. Zielonoskórych trupów naliczył pięć. Na ich wielkich prostokątnych gębach, w których nie mieściły się długie, żółte zębiska, zastygły to dzika furia, to pośmiertny spokój. Ich muskularne ramiona zdobiły krwawe szramy, a wydatne kałduny – girlandy z kiszek. Swąd siarki na szczęście zagłuszał smród rozprutych jelit.

Jeszcze raz przyjrzał się swym dłoniom. Zdrowe i idealnie przycięte paznokcie pokrywał rdzawy osad, a krwawe liszaje sięgały dalej, aż do łokci.

– I w razie czego umiem się też bronić – mruknął do siebie szorstkim, obco brzmiącym głosem.

Wtem coś zachrobotało. Ciche jęknięcie odbiło się echem od stropu jaskini.

Mężczyzna instynktownie sięgnął do biodra, lecz nie znalazł tam żadnego ostrza. Błyskawicznie wypatrzył leżący w pyle zakrzywiony, długi nóż i schylił się po niego. Głowica idealnie leżała w ręce.

Pod przeciwległą ścianą gramolił się spod zielonego cielska, sapiąc z wysiłku, drugi człowiek.

– Paszoł won, bydlaku! – jęknął tamten, uwalniając się w końcu spod ciężaru wielkiego orka.

Gdy tylko się dźwignął, zastygł z wzrokiem wbitym w mężczyznę z nożem. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu. Nowo obudzony miał na sobie skórzane wytarte portki, takąż kurtkę i wysokie buty, jednak gorszej roboty niż u tego pierwszego. Był też od niego znacznie niższy, za to szerszy w barach. Spod czarnych jak smoła, krzaczastych brwi błyszczały bystro duże oczy, ciemne, podobnie jak karnacja i gęsta krótka broda pokrywająca szczękę i policzki.

– Nie masz pojęcia, kim jesteś? – spytał wyższy. Tamten przytaknął po chwili zastanowienia.

– Mam rozumieć, że jest nas dwóch? – dodał niskim, zdartym głosem.

***

– Ri-zen? – wydukał niepewnie śniady. Siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw drugiego mężczyzny. Od ponad godziny próbowali we dwójkę ustalić, kim są i co ich przywiodło do tego piekielnego miejsca. Na początku ustalili, co – biorąc pod uwagę okoliczności – było sprawą priorytetową, że nie rzucą się sobie do gardeł, a następnie, że nie opuszczą jaskini, dopóki nie uda im się odtworzyć otaczającej ich rzeczywistości z resztek wspomnień.

– Jesteś z Rizen? – ożywił się ten wyglądający na zamożnego szlachcica.

– Nie wiem. Taka nazwa kołacze mi się w głowie. Jest taka miejscowość?

– Tak, jest taka osada, daleko na południu. Jestem tego… niemal pewien.

– Zatem niech będzie, jestem z Rizen. Czyli możesz mówić do mnie Darizen.

– Południowiec Darizen. W porządku. Ja zaś…

– Paniątko z Północy. – Smagły mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Jego szczery uśmiech i szeroka poczciwa twarz budziły zaufanie i już nieraz podniosły rozmówcę na duchu. Tym razem jednak „Paniątko" zupełnie zignorował żart towarzysza i zapatrzył się we wzór zdobiący brzeg tuniki. Złote zawijasy układały się w krótki powtarzający się napis.

– Nemen – przeczytał. Jeśli nawet nie było jego imię, to przynajmniej nazwa rodowa. No, w ostateczności – taką opcję także trzeba było brać pod rozwagę – mogła to być nazwa zakładu krawieckiego, w którym wykonano to ekskluzywne odzienie. Tą wątpliwością jednak wolał się już nie dzielić. Nemen brzmiało całkiem nieźle.

– Świetnie, nie będziemy już do siebie wołać „ej, ty!", ani „eno, chono!". Tylko że to w ogóle nie przybliża nas do prawdy – powiedział mężczyzna nazwany przed momentem mianem Darizon. – Trza się rozejrzeć. Tu musi coś… – To mówiąc, podniósł się i przeszedł kilka kroków. Coś przykuło jego uwagę. Schylił się po wypolerowany przedmiot błyszczący w popiele. – … być – dokończył.

Po chwili przyglądał się trzymanej w dłoni naturalnej wielkości wykonanej najprawdopodobniej ze złota ludzkiej czaszce. Ślepiła w niego czarnymi oczodołami. Południowiec miał wrażenie, że w tym spojrzeniu bez oczu tkwią niepojęte pokłady szyderstwa i wzgardy.

– Ciekawe – dodał Nemen, gdy się zbliżył. – Wiem, co to jest.

***

Czarnowłosy krążył po pieczarze, wodząc wzrokiem po skałach i zielonoskórych truchłach zastygłych w obronnych pozach.

– Orkowie musieli nas zaatakować, gdy tędy przechodziliśmy. To idealne miejsce na zasadzkę. – Wskazał szerokie półki skalne wiszące pod stropem. – Wywiązała się walka. Kilku usiekliśmy, lecz co najmniej jeden dopadł Czaszki. Patrz.

Przykucnął przy artefakcie, który zdawał się kluczowy w rozgrywającym się tu dramacie, i począł z tej perspektywy lustrować wnętrze groty. Czaszka tkwiła z powrotem w miejscu, w którym ją znaleźli. Darizen obracał się powoli wokół własnej osi i kreślił ręką okrąg w powietrzu. Nemen stanął obok niego. Teraz i on to widział. Ciała orków, poniszczone fragmenty uzbrojenia, sprzęty, wszystko układało się centrycznie, jakby odrzuciła ich jakaś potężna siła, mająca epicentrum właśnie tu, gdzie teraz stali. Nawet wulkaniczny pył uformował coś na kształt płytkiego leja nieopodal miejsca, gdzie znaleźli drogocenny przedmiot.

– My też obudziliśmy się pod samymi ścianami.

– Musiała nastąpić eksplozja.

– Tak. Pewnie któryś z tych bydlaków próbował mnie lub tobie wyrwać Czaszkę z rąk. Po krótkiej szamotaninie miała miejsce erupcja mocy. Wielkie bum! – Darizen poparł słowa gestem.– I wszystkich rozpiździło po jaskini.

– A my straciliśmy pamięć.

– Mogło być gorzej. – Wskazał brodą leżące po okręgu ciała. – Tych wszystkich skurczybyków eksplozja musiała zabić. Inaczej nie mielibyśmy tego. – Mężczyzna chwycił czaszkę.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w hipnotyzujące ogniki pełgające po złotej, lśniącej powierzchni. Artefakt, który znaleźli tuż po przebudzeniu, błyskał złotym refleksem spod warstwy popiołu. O dziwo, obaj bez wahania rozpoznali w nim Złotą Czaszkę, zwaną też Zgubą Morgula. Nie byli pewni, skąd i jak, ale wiedzieli o niej całkiem sporo. Bardzo szybko też powiązali ów przedmiot z miejscem, w którym się znaleźli.

– Zguba Morgula, potężny artefakt pozwalający zesłać na człowieka łaskę niepamięci – referował Nemen, a Darizen przytakiwał. – Wykonana w drugiej erze przez elfickiego księcia, którego imienia zwykłemu śmiertelnikowi nie sposób wymówić, na zamówienie jakiegoś pomniejszego bóstwa. Bla, bla, bla…

– Z ust mi to wyjąłeś.

– Zgodnie z legendą Czaszkę można zniszczyć jedynie na Ołtarzu Zapomnienia w trzewiach Góry Ognia, czyli zapewne tu gdzie jesteśmy.

– Na to wygląda. – Południowiec próbował przewiercić czaszkę wzrokiem. – Szkoda tylko, że nie wiemy, czy mieliśmy cię zniszczyć, czy uchronić od zniszczenia – mruknął do niej, i nie doczekawszy się odpowiedzi, cisnął ją z powrotem na pokryty grubą warstwą czarnego pyłu spąg pieczary.

***

Rozsiedli się tuż przy łypiącej na nich oczodołami Czaszce, niedaleko korytarza, z którego dochodził nikły powiew świeżego powietrza. Zgarnęli nieuszkodzone bukłaki i jeden z walających się między trupami plecaków. Bukłaki okazały się wypełnione rozcieńczonym wodą winem, a w plecaku znalazło się jeszcze kilka owiniętych w wysuszone liście sucharów.

– Nawet niezłe – wymamrotał z pełnymi ustami Darizen i podał jedzenie kompanowi.

Nemen skrzywił się odruchowo po pierwszym kęsie.

– Mnie już zbrzydły – mruknął. – No co?! – wypalił, widząc pytające spojrzenie towarzysza. – Widocznie takiej diety się nie zapomina.

Obaj parsknęli śmiechem.

Syci i pokrzepieni winem ułożyli się wygodniej na ziemi. Darizen nucił cicho jakąś starą melodię. Nemen co i rusz ocierał dłonią spotniałe czoło. Jak zahipnotyzowani wpatrywali się w złoty artefakt przed nimi. Czaszka zdawała się szczerzyć zęby w złośliwym uśmiechu.

– Szydzi z nas – burknął w końcu Nemen i zaszurał gwałtownie butem, przyprószając popiołem lśniący metal. – Szydzi z nas i ma zupełną rację. Musimy podjąć jakąś decyzję, ustalić, co wiemy.

– Dobrze – zgodził się Darizen. Przepłukał jeszcze gardło i podjął z belferskim zacięciem: – Wiemy, to znaczy pamiętamy, że istniał artefakt zwany Zgubą Morgula. Artefakt ten miał ponoć moc wymazywania ludzkiej pamięci…

– Nie ponoć. Jesteśmy chodzącymi dowodami, że to prawda. Zresztą nie powtarzajmy się. Pytanie brzmi, co dokładnie się tu wydarzyło i jaką rolę mieliśmy do odegrania. Nie możemy po prostu wziąć Czaszki pod pachę i się stąd wynieść. Enu jeden wie, co musieliśmy przeżyć, by się tu dostać, i ile trupów za sobą zostawiliśmy. Gra toczy się o wysoką stawkę, skoro próbowało nam przeszkodzić pół tuzina Zielonoskórych. Musimy skończyć to, cośmy zaczęli.

Podnieśli się i wrócili do oględzin pieczary. Wnętrze góry, przepełnione żarem i pomrukiem magmy płynącej pod nimi, nie chciało jednak zdradzić żadnych tajemnic. Kręcili się w kółko, zaglądając do każdej szczeliny, przyglądając się byle kamieniowi.

– Coś tu nie gra – rzekł w końcu Nemen. Pochylał się nad kolejnym ciałem orka. – Wszyscy Zielonoskórzy, co do jednego, zostali wypatroszeni ostrzem. Nie żyli w momencie eksplozji. Z kim więc walczyliśmy, gdy do niej doszło?

Pytanie zawisło w gęstym od dymu powietrzu. Darizena trapiły podobne wątpliwości, choć wolał się nimi nie dzielić, przynajmniej dopóty, dopóki nie potrafiłby ich rozwiać.

– Może z nim – odparł. Z ustami zakrytymi dłonią i przymrużonymi oczyma kucał nad wyjątkowo okazałą wyrwą w ziemi. Skinieniem głowy zaprosił swego towarzysza, by podszedł.

– Spójrz.

W rozpadlinie pod nimi, kilkadziesiąt stóp niżej, bulgotała rozżarzona magma. Chlupoczącymi wodospadami spływała po ścianach do ognistego jeziora. Na występie skalnym, mniej więcej w połowie wysokości między taflą magmy a spągiem pieczary, czernił się powykręcany kształt. Potężny spopielony ork.

– Może – zgodził się szlachcic. Nie wyglądał jednak na przekonanego.

***

Z każdą mijającą chwilą pieczara stawała się coraz mniejsza, coraz bardziej złowroga i coraz bardziej przesycona śmierdzącymi oparami. Mężczyźni miotali się od ściany do ściany niczym dzikie koty w klatce cyrkowca. Gorączkowo starali się zaplanować dalsze postępowanie, lecz zdezorientowane, zmęczone umysły rodziły więcej pytań niż odpowiedzi.

– A może… Może sami sobie komplikujemy życie? – rzekł Darizen po kolejnej rundce wokół jaskini. – Skoro napadli nas Zielonoskórzy, to oznacza, że chcieli przeszkodzić nam w wyprawie, chcieli nas zatrzymać, chcieli odebrać nam Czaszkę, czyli uchronić ją przed zniszczeniem! A to znaczy, że musimy odnaleźć ten cholerny ołtarz i dokończyć dzieła. Proste!

– Bzdura! – Szlachcic machnął ręką. – Równie dobrze to my mogliśmy czyhać na nich na tych półkach.

– Ech… – Smagły mężczyzna ukucnął, skrywając twarz w dłoniach. – To do niczego nie prowadzi. Nie rozstrzygniemy tego, nie bez pamięci.

Poderwał się nagle, podbiegł do najbliższego orka i kopnął z całej siły w wielki, kanciasty łeb, gruchocząc żuchwę i pogięte kły. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi, nie poczuł też się ani odrobinę lepiej.

– Spokojnie… – Szlachcic podszedł do niego i przyjacielsko poklepał po plecach. – Musimy po prostu pomyśleć, dlaczego ktoś chciałby zniszczyć Zgubę Morgula lub dlaczego miałby ją zachować przed zniszczeniem.

Południowiec ponownie rozpoczął nerwową wędrówkę po jaskini.

– To chyba oczywiste. Ktoś, tak jak my, stracił pamięć i chce ją odzyskać.

– Jesteś pewien?

– A niby skąd? – Darizen wzruszył ramionami. – Po prostu wydaje mi się to logiczne.

– A może ktoś jednak za wszelką cenę chce zachować przeszłość nieodkrytą?

– Na przykład co takiego? – prychnął. – Trudne dzieciństwo?

– Nie wiem. To, że jest potworem? To, że wie jak zniszczyć świat?

Południowiec w końcu się zatrzymał. Przez chwilę stał zasępiony. Mierzwił zarost i dumał. Dla odmiany teraz to jego nie przekonywała ta wizja.

– Mam pomysł – mruknął, pogmerał w kieszeni kurtki i wydobył z niej małą miedzianą monetę. – Możemy tu zapuścić korzenie, a i tak nie będziemy mądrzejsi. Musimy jednak coś zrobić. Gęba, wracamy z Czaszką. Ogon, ciskamy ją w ogień. Co ty na to?

Nemen zbliżył się do towarzysza. Moneta wydawała mu się zupełnie obca, nie przedstawiała żadnego władcy, którego znał czy raczej pamiętał. Nic mu nie mówiła, nic nie podpowiadała.

– Niech będzie – przytaknął zrezygnowany.

***

Anonimowy monarcha figurujący na monecie obwieścił decyzję dotyczącą dalszych losów mężczyzn poprzez skrycie swej szlachetnej facjaty w skalnym podłożu. Zainteresowani przyjęli wyrok władcy bez zbędnych komentarzy. Choć oczywiście wątpliwości nie zniknęły, posłusznie zaczęli szykować się do drogi.

Podczas wcześniejszych oględzin znaleźli dwie możliwe drogi podróżowania. Niski korytarz, który otwierał się w jednej ze ścian, wykluczyli jednogłośnie na samym początku. Zawiewało z niego chłodniejsze, świeże powietrze i stąd założyli, że ów korytarz prowadzi do wyjścia z wnętrza góry, ołtarz natomiast, a przynajmniej tak podejrzewali, powinien znajdować się głębiej lub wyżej. Drugą drogę stanowiły drobne stopnie wykute w skale, pnące się wewnątrz wąskiego komina hen, wysoko, ponad strop pieczary. Schody nie prezentowały się najlepiej. Od nowości musiały być raczej mizerne i zapewne nigdy nie były przykładem kunsztu rzemieślniczego, a upływ czasu i liczne wstrząsy, które targały górą, tylko pogłębiły ten obraz nędzy i rozpaczy. Mimo to zdecydowali, że będą się wspinać.

Zebrali prowiant. Nemen wśród rozrzuconego sprzętu znalazł pochwę do swojego noża. Darizen chciał wybrać dla siebie jakiś łuk, lecz niestety te dwa, które miała do zaoferowania jaskinia, nie nadawały się już do niczego. Ostatecznie przytroczył do pasa niedługi tasak, ciężki, prosty, widać, że orkowej roboty, innej broni niestety do wyboru nie miał.

Powiernikiem Zguby Morgula został mężczyzna w stroju bogacza. Nie zapytał o zdanie towarzysza, nie podał tego pod dyskusję. Po prostu wcisnął artefakt w niewielki mieszek i zapakował do plecaka. Nie uszło to uwadze Darizena. I bardzo mu się to nie spodobało.

– To będzie długi dzień – westchnął szlachcic. Z zadartą głową próbował dostrzec wylot komina. Od dłuższej chwili był już gotowy do drogi, lecz nie mógł zdobyć się na pierwszy krok.

– No, albo dwa, ewentualnie trzy – pocieszył go kompan. Z satysfakcją obserwował jak „Paniątko” na przemian to blednie, to czerwienieje. – Chodźmy już – zakomenderował w końcu i chwycił się pierwszych występów. Skała kruszyła się w palcach, lecz dawała oparcie.

– Tak, chodźmy. Mamy zadanie do wykonania. – Nemen ruszył tuż za tamtym.

– No, albo do spieprzenia.

***

Wspinaczka okazała się dokładnie tak trudna, jak się spodziewali, choć po prawdzie jedynie Nemen miał z nią kłopoty, a każdy ruch, każde sięgnięcie ręką do stopnia, każde postawienie stopy było dla niego jak igranie ze śmiercią. Trasa, którą się poruszali, choć przygotowana przez czyjeś ręce i dłuta, nazwana została przez nich, a właściwie przez Darizena, "schodami" bardzo na wyrost. Skorodowana skała kruszyła się szlachcicowi w rękach i pod butami, nie potrafił wypatrzeć właściwego miejsca do chwycenia i zamierał spanikowany na dłuższą chwilę, słysząc okruchy sypiące mu się spod stopy, czując drętwienie narastające w ramieniu.

Południowiec nie miał takich problemów i wspinał się niemal jak po drabinie. Bardzo szybko się rozluźnił, i to na tyle, że pomagał również mniej sprawnemu w tej materii towarzyszowi. Na szczęście komin z pewną regularnością otwierał się z boku na mniejszą lub większą jaskinię, podobną do tej, z której rozpoczęli wspólną wędrówkę. Czasami popasali dłużej, czasem odpoczywali tylko chwilę przed dalszą wspinaczką, łapali oddech, rozluźniali mięśnie. Nie rozmawiali dużo, praktycznie nie zwracali na siebie uwagi, regenerowali siły.

Darizenowi nie dawała spokoju Czaszka spoczywająca w plecaku szlachcica. Ten, jakby jeszcze bardziej chcąc go rozjuszyć, co jakiś czas wydobywał lśniący przedmiot i przypatrywał mu się uważnie, to gładząc szwy między kośćmi mózgoczaszki, to sprawdzając ostrość zębów. Artefakt był bardzo potężny, o czym się już przekonali, musiał też być bajecznie drogi, o czym któryś z nich mógłby się jeszcze przekonać.

***

– Bądź tak dobry i podaj mi plecak – rzekł jakby nigdy nic Nemen. Sam był zbyt zajęty Czaszką.

Darizen zmarszczył brwi. Popatrzył na plecak i na szlachcica. Jeden stał obok drugiego w odległości maksymalnie dwóch kroków. Mężczyzna już wcześniej zauważył, że kompan bardzo lubi się nim wysługiwać. Podaj to, schowaj tamto. Do tej pory nie przeszkadzało mu to za bardzo, lecz w tej chwili miarka się przebrała. Poczuł, jak w żołądku rodzi mu się i rozrasta zimna kula gniewu. Wydawało się, że „Paniątko” nadaje się jedynie do noszenia artefaktu, a cała reszta jest zbyt męcząca i wymagająca. Względnie poniżej jego godności.

– Sam se podaj, bliżej masz – syknął niższy mężczyzna. – Nie jestem jakimś twoim służącym. – Odwrócił się ostentacyjnie i począł przyglądać się stopniom oraz planować kolejny etap wspinaczki.

Nemen milczał przez chwilę, zastanawiając się, co robić. Ostatecznie nie schylił się jednak po bagaż, rozpostarł szeroko ramiona i uśmiechnął się serdecznie, tak jak cierpliwy ojciec uśmiecha się do niezbyt rozgarniętego potomka.

– Przestańmy się oszukiwać – powiedział. – Widać to na pierwszy rzut oka, jesteś moim służącym.

– Co?!

Dłoń Południowca, zdawało się, sama znalazła rękojeść tasaka. Wydobył broń z pochwy, nie zaatakował jednak. Z ostrzem wiszącym wzdłuż nogi i przekrzywioną na bok głową mierzył wzrokiem towarzysza. Choć znajdowali się wewnątrz Góry Ognia, to spojrzenie mroziło.

– Daj spokój. – Po Nemenie nie było widać zdenerwowania. – Na świecie są ludzie, którzy potrzebują służby, i ludzie, którzy im usługują. To żadna ujma. Nie róbmy z tego przedstawienia. Po prostu podaj mi ten plecak. – Uśmiechnął się najszerzej jak tylko potrafił. – Ładnie proszę.

Nie doczekał się. W zamian Darizen zaczął wokół niego powoli krążyć, cały czas ważąc w dłoni tasak.

– To ciekawe – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Nie wiemy o sobie praktycznie nic, a ty już zyskałeś pewność, że jestem tobie podległy. Bo co? Bo jesteś lepiej ubrany? Bo masz gładkie policzki jak elfka na wydaniu i paluszki zadbane?

Nieprzerwanie zataczał kręgi, zmuszając jednocześnie szlachcica do kręcenia się wokół własnej osi. Z każdym pełnym kręgiem znajdował się bliżej tamtego o kolejne pół kroku.

– A przecież – kontynuował, powoli cedząc słowa – równie dobrze, to ja mogę być zamożniejszy i potężniejszy. Przecież mogę podróżować, ukrywając własną tożsamość. Mogę w trosce o własne życie zamienić się strojami z własnym sługą, by w razie czego to jemu poderżnięto gardło. Czy w końcu mogę też po prostu nie lubić afiszować się swoim bogactwem; tak, są tacy.

Błazeński uśmiech zanikał na twarzy Nemana wraz z każdym domkniętym kółkiem, kiedy wkurzony Południowiec i jego tasak zbliżali się. Broń pojawiła się także w szlacheckiej dłoni. Nie widział co prawda, jak tamten walczy, ale sprawiał wrażenie silnego i nieugiętego wojownika.

– Nic o mnie nie wiesz, szlachetko. A ty? Co wiemy o tobie? – Smagły wskazał rozmówcę głownią tasaka. – Czyż rzeczywiście szlachcic? Bogacz? Wiemy tylko, że paradujesz w fikuśnych fatałaszkach. A skąd mam mieć pewność…

Darizon zatrzymał się nagle. Stali naprzeciw siebie w zasięgu ostrzy.

– … żeś tych fatałaszków nie ukradł, żeś ich nie zerwał z zimnego ciała kupca, którego zarżnąłeś we śnie!

Nemen zacisnął zęby, aż zgrzytnęły. Miał taką ochotę, taką przemożną ochotę, by rzucić się na tamtego i wypatroszyć go za bezczelność i oszczerstwa, uciszyć raz na zawsze tę przemądrzałą jadaczkę. Sęk w tym, że nie mógł być pewien, czy to rzeczywiście oszczerstwa.

– Acha, co mi przypomina, miałem powiedzieć – ciemnowłosy nie miał zamiaru jeszcze kończyć – że lepiej by było, gdybyś mnie oddał Czaszkę.

Szlachcic błyskawicznie doskoczył do plecaka.

***

– To jest ten moment, kiedy mężczyźni zaczynają się bratać – mówił Nemen. – Opowiadają o swoich kobietach, dziatkach, lękach i marzeniach.

Podał bukłak z rozwodnionym winem kompanowi. Już któryś popas z kolei próbował zagaić rozmowę ze smagłym, lecz ten tracił humor zaraz po tym, jak odczepiał się od schodów. Darizen przyjął trunek, choć przy okazji splunął demonstracyjnie przez ramię. Bogacz westchnął i kontynuował:

– Chwalą się bliznami, wspominają poległych w boju przyjaciół…

– Daj już spokój z tymi kretynizmami – warknął czarnowłosy. – Jedyne, o czym mogę ci opowiedzieć, to o tym, jak taki jeden tłuk bezpodstawnie zaczął zgrywać ważniaka i musiałem mu przemówić do

rozsądku. A rodziny czy przyjaciół i tak zapewne nie mamy.

– Jak to?! – Szlachcic poczuł ukłucie w piersi. Poderwał się na nogi.

– Tak to! Na taką wyprawę wybiera się ludzi, którzy nie mają nic do stracenia, nikogo, kogo mogliby osierocić, zostawić. Przecież to oczywiste.

– Ale ja czuję… tęsknotę. – „Paniątko" klapnął z powrotem na ziemię. – I miłość. Nie, ja mam rodzinę, drogi Darizenie. Nawet jeśli nie pamiętam ich imion i twarzy, wiem że są gdzieś tam, wyczekują mnie i wierzą, że ich nie zawiodę. – Spojrzał przed siebie, jakby potrafił wzrokiem przeniknąć skałę. – Robię to dla nich.

– W takim razie jednak jesteś idiotą – podsumował Południowiec.

W odpowiedzi Nemen przewrócił oczami.

– Zejdź już ze mnie – mruknął i wręczył mu niewielki worek. – Teraz twoja kolej.

Po ostatnim spięciu, kiedy to prawie nie rzucili się na siebie z obnażonym żelazem, Nemen w ostatniej chwili uległ i ustalili, że Zguba Morgula będzie podróżowała na zmianę raz z jednym, raz z drugim. Umówili się również, że na czas misji porzucą eksplorowanie relacji pan – sługa.

O mało się nie pozabijali, prawda, lecz ostatecznie wyjaśnili sobie kilka rzeczy, ułatwiających współpracę. Niestety Darizen mimo to nie przestawał się boczyć.

– Zejść z ciebie? Jeszcze dobrze na ciebie nie wszedłem – burknął, szykując się do dalszej drogi. – Dopiero mogę.

***

Z każdym sążniem wspinaczka stawała się trudniejsza, przynajmniej dla Nemena, który z coraz większym wysiłkiem wśród skorodowanych stopni odnajdywał oparcie dla stóp i miejsce dla palców dłoni. Coraz częściej drżały mu łydki – tak z wysiłku, jak i ze strachu, a wyobraźnia podsuwała mu coraz to nowe wizje malowniczo rozbryzganego ciała zdobiącego spąg jaskini gdzieś tam, hen, daleko w dole. Z radością przyjmował odcinki, gdy komin, którym się wspinali, zwężał się na tyle, że mógł oprzeć się o ścianę plecami. Takie fragmenty jak na złość pokonywał szybciej i ponownie wracał do mozolnego wczepiania się w resztki schodów pnących się tak naprawdę w nieznane. Ani zmęczenia, ani strachu nie chciał pokazywać kompanowi, lecz musiał wyglądać na tyle nieciekawie, że ów bez najmniejszego problemu odczytał wszystkie gryzące go niepokoje. Przeorganizował więc dźwigane bagaże, co w praktyce oznaczało, że opróżnił i wyrzucił plecak Nemena i wszystko zapakował do siebie, pozostawiając mu tylko sakwę na noszoną na zmianę Czaszkę.

– Dlatego, żem silniejszy, a nie, że sługa! – wykrzyczał przy tej okazji, wymachując palcem przed nosem bogacza.

W wielu sytuacjach pomagał też koledze – tak zaczął w duchu, choć wbrew sobie, nazywać „Paniątko" – znaleźć odpowiedni występ, służył oparciem, a kilka razy w ostatniej chwili klepnięciem w plecy "przykleił" z powrotem odpadającego do ściany.

Nemen nie mógł pojąć, skąd jego towarzysz bierze na to wszystko siły i jakim cudem zachowuje sprawność jaszczurki.

Darizen wspinał się bez wyraźnego wysiłku. Pogwizdywał bez przerwy jakieś skoczne melodie, a od

czasu do czasu raczył ich sprośną piosenką. Nemen nie mógł wyjść z podziwu, gdzie u Południowca odkładało się tyle pokładów tlenu. Sam ledwo zachowywał jasność myśli, koncentrując się na oddychaniu i wspinaczce.

W pewnym momencie gwizdanie raptownie ustało. Szlachcic, nie wiedząc dokładnie czemu, poczuł ukłucie niepokoju. Rozczapierzony niczym pająk na wyjątkowo niesprzyjającym odcinku, za bardzo nie mógł się nawet obejrzeć za towarzyszem.

– Darizen? – wychrypiał na próbę. Odpowiedziała mu cisza. Ukłucie niepokoju zamieniło się w lodowatą pułapkę na niedźwiedzie wgryzającą zęby w pierś, gdy uświadomił sobie, że to drugiemu mężczyźnie przypadała akurat rola niesienia artefaktu. Pomimo upału zimny pot sperlił się mu na czole. Przyklejony do ściany z trudem wypatrywał jakiegoś występu, gdzie mógłby oprzeć nogę, choćby niewielkiego guza, na tyle jednak solidnego, że mógłby na niego przenieść swój ciężar. Stopą próbował wymacać odpowiednie miejsce, szorował butem po skale, strącając w przepaść co i rusz nowe okruchy.

– Nie ruszaj się – usłyszał szept. Słowa wypowiedziane były bardzo cicho, lecz było w nich coś na tyle niecierpiącego sprzeciwu, że Nemen zamarł jak sparaliżowany. – Ufasz mi? – zapytał Darizen tym samym władczym szeptem. Stał tuż za szlachcicem, cedząc mu słowa wprost do ucha. Oczywiście, do czego szlachcic zdążył się przyzwyczaić, jego śniady kompan jakimś cudem stał pewnie na praktycznie niewidocznych stopniach tam, gdzie on wisiał pokracznie rozpięty na skalnej ścianie jak suszona na słońcu skórka.

– Ufasz mi? – powtórzył Południowiec.

Szlachcic nie zastanawiał się nad tym. Udało mu się w końcu oprzeć prawą stopę na twardym podłożu. Dzięki temu uwolnił jedną rękę i najostrożniej jak tylko potrafił sięgnął po nóż. Obnażył cicho ostrze.

– Tak – odparł po chwili milczenia.

– Dobrze. Zatem posłuchaj. Na plecach przycupnęła ci ognista skolopendra…

Nemen zadrżał, a powietrze w niekontrolowany sposób z rozdrganym świstem wdarło się mu do płuc. Może i trapiła go niepamięć, ale o tym stworze nie zapomniał.

– Cii… – Darizen prawie dotykał ustami jego karku. – Nie czujesz jej, gdyż już zdążyła wstrzyknąć ci substancję przeciwbólową, zrobiła dziurę w twojej ślicznej tunice, a w tej chwili jest w trakcie wgryzania się w twoje mięśnie. Jeśli poruszysz się gwałtownie, przestraszona splunie płonącą cieczą, której nikt i nic nie ugasi. Jeśli ją zranimy, lecz nie zabijemy, splunie płonącą cieczą…

Szlachcic słuchał głosu kompana z zamkniętymi oczami. Mimo że tamten mówił jak najciszej, przerażające słowa obijały się wewnątrz czaszki niczym dźwięk gongu.

– … której nikt i nic nie ugasi. Jeśli w jakiś sposób sprawimy, że poczuje się zagrożona…

– … splunie płonącą cieczą, której nikt i nic nie ugasi – wysyczał Nemen. – Jeśli nie zrobimy nic, wgryzie się głęboko, a w ciągu trzech dni ona i jej potomstwo zeżrą mnie od środka. Co proponujesz?

– Nie ruszaj się. Mam naprawdę nadzieję, że to prawda.

– Co?

– Że mi ufasz.

To powiedziawszy, Darizon z charakterystycznym sykiem wydobył tasak z pochwy. Szlachcic zacisnął szczęki i powieki, palce wbił do granic możliwości w skalne wypustki. Nigdy nie był szczególnie wierzący, lecz teraz szczerze się modlił, by jego towarzysz nie okazał się gamoniem w robieniu ostrzem ani podstępnym mordercą, a on ostatnim idiotą czekającym grzecznie na zabójczy cios.

Południowiec zamachnął się i bez słowa zaatakował przerażającego wija. Szlachcic usłyszał suchy trzask, a po chwili poczuł palący ból.

***

Schody wywiodły ich w końcu z wnętrza góry na niewielką skalną platformę przyklejoną do zbocza niby ukwiał. Odetchnęli głęboko świeżym powietrzem, choć określenie „świeże" było zdecydowanie na wyrost. Na zewnątrz panował duszny, śmierdzący siarką mrok. Z licznych szczelin sączyły się pasma czarnego dymu i leniwie unosiły się ponad szczyt, by tam wspólnie utworzyć ponure, nieprzeniknione chmury zasnuwające niebo. Wszystko kąpało się w tak dobrze znanym czerwonym blasku lawy i rozgrzanego żużlu wystrzeliwanego z krateru gdzieś nad nimi. O ile wszędobylski popiół i snujące się w powietrzu wstęgi czarnych oparów pozwalały się rozeznać, Górę Ognia otaczał pierścień niewysokich, ale stromych i jałowych gór. Pustynia popiołu i pumeksu.

Klapnęli ciężko obok siebie. Niekończąca się wspinaczka dawała się we znaki nawet Darizenowi. Już nie podśpiewywał ani nie pogwizdywał, tylko czasami zdobywał się jeszcze na jakiś głupi żart w stosunku do szlachcica. Brodate oblicze coraz rzadziej jednak zdobił uśmiech, ustępując miejsca grymasowi bólu i wyczerpania. Jego towarzysz czuł się jeszcze gorzej. Walcząc o każdy oddech, prawie się nie odzywał. Mięśnie kończyn drgały pod skórą jak szalone, stawy skrzypiały, a płuca najzwyczajniej w świecie bolały.

W końcu po dłuższej ciszy wypełnionej ciężkimi oddechami pierwszy odezwał się bogacz.

– Weźmiesz? – Dzierżył w ręku trzos ze Zgubą Morgula. – I już trzymaj. Mnie tylko zawadza… Poza tym… To absurdalne. Miałeś okazję zabić mnie setki razy, sam nadstawiłem plecy na cios… – Słowa nie specjalnie mu się kleiły. – A tak w ogóle… – Spojrzał Darizenowi w oczy. – Tak w ogóle…

Południowiec bez słowa wziął artefakt, pokraczne podziękowania zaś przyjął uśmiechem i ledwo zauważalnym skinieniem głowy.

– Wybacz, że cię skaleczyłem – powiedział. Chciał dodać coś jeszcze, lecz kompan prychnięciem i machnięciem ręki dał znać, że uważa temat za zakończony. Skolopendra zginęła śmiercią gwałtowną i bez dalszych nieprzyjemnych konsekwencji, wobec czego płytka szrama pozostawiona przez klingę tasaka wzdłuż kręgosłupa szlachcica stanowiła bardzo niską cenę.

– Jesteśmy prawie u celu – rzekł Darizen. Schody teraz zaczynały się wić spiralą wokół zwężającego się stożka, by przed samym szczytem znów zniknąć wewnątrz gigantycznego kołnierza. – Mam przynajmniej taką nadzieję.

Niebo pociemniało, goszcząc u siebie noc, a żywszy wiatr rozgonił nieco wiszący nad nimi obłok dymu. Na firmamencie mrugały tysiące gwiazd, za górami mrok migotał setkami ogników. Z jakiegoś powodu widok ten Darizena nie zdziwił.

– Armia – stwierdził beznamiętnie.

– Zatem mamy wojnę. – Nemen starał się wzrokiem przeniknąć ciemności. Oczywiście na próżno.

Zresztą gdyby nawet dostrzegł proporce, czy coś by mu one powiedziały? – Sądzisz, że właśnie rozstrzygamy jej losy?

– Ech, chłopie… – Smagły pokiwał głową, sięgając po resztkę jedzenia i wina. – Z takim wybujałym ego to ty musisz być Paniątkiem z Północy – parsknął śmiechem. – Obawiam się jednak, że tym razem możesz mieć rację. – Na pewno to obozowisko w jakiś sposób łączy się z nami i powierzonym nam zadaniem. Inaczej byłby to cholernie dziwny zbieg okoliczności.

Bogacz przytaknął skinieniem głowy.

– Gra toczy się zatem o naprawdę wysoką stawkę. Myślisz, że powinniśmy zaniechać naszych planów?

– I co dalej?

– I… Nie wiem…. Może powinniśmy iść do obozu – wskazał pasmo górskie – spróbować się wywiedzieć, co tu tak naprawdę robimy?

– A jeśli to nie nasz obóz, tylko polujących na nas orków? Poza tym naprawdę myślisz, że przeżyjemy drogę powrotną? Starczy nam sił? Prowiantu? Szczęścia? Hę?

Żadna odpowiedź nie padła. Zasępieni zatopili zęby w sucharach.

***

– Kim jesteśmy? – zapytał nieoczekiwanie Nemen, od dłuższego czasu przypatrujący się własnym dłoniom.

Czarnowłosy wzruszył ramionami.

– Niedługo się przekonamy – odparł.

– Nie o to mi chodzi. Co, jeśli rzeczywiście jeden z nas – znacząco spojrzał na Darizena – jest sługą, a drugi panem? Co, jeśli na co dzień dzieli nas etykieta, zwyczaje, a nawet prawo? Co, jeśli tradycja nakazuje nam pielęgnować różnice, budować mury, tak jak byśmy byli z innych światów? A teraz rozmawiamy ze sobą jak równy z równym! Jak bracia. Czy rzeczywiście w tak niewielkim stopniu stanowimy sami o sobie? O sobie, czyli o kim?

– Eee… Powtórzysz pytanie? – przerwał mu rozbawiony Południowiec. Szlachcicowi zdawało się to jednak nie przeszkadzać.

– Czy jesteśmy tylko emanacją tradycji, kultury stworzonej przez naszych dziadów? Zlepkiem wspomnień, tych własnych i tych masowych naszego ludu? Czy bez tego nie wiedzielibyśmy, jak należy postępować, co jest dobrem, a co złem? Ale spójrz na nas. Nie staliśmy się dziećmi, zwierzętami, nie popadliśmy w obłęd. Funkcjonujemy, odczuwamy, wspieramy się nawzajem. Więc jak to jest?

Południowiec wzruszył ramionami. Spojrzał w niebo, próbując dostrzec gwiazdy przez chmury wulkanicznego pyłu i dymu.

– Jesteśmy tylko kiepskimi tancerzami, starającymi się nadążyć za melodią bogów. – Uśmiechnął się półgębkiem.

Pociągnął porządny łyk z bukłaka. Nagle poderwał się na nogi, rozpostarł szeroko ręce i zaczął

kręcić się jak szalony, co i rusz kucając i podskakując, rozbawiając tym Nemena.

– Ponoć Enu i jego dzieci nic innego nie robią, a tylko grają i grają, opowiadając losy świata. A za każdym razem, gdy w ich muzykę wkradnie się fałszywa nuta lub gdy jeden z nich choć na moment zgubi rytm, mamy to!

Zatrzymał się nagle, celując palcem w odległe ogniska.

– Wojnę, głód i zarazę. – Przykucnął przy towarzyszu. – A ja myślę, że skoro oni ciągle tam grają, to pewnie też tęgo popijają, a skoro ciągle tak hulają, to nie dziwota, że fałszują coraz gorzej. A my? My staramy się jedynie dotrzymać im kroku i robić to, co dla nas ułożyli. Jeżeli pisane mi być twoim sługą, będę. Jeżeli pisane mi chwilo tego nie pamiętać – podał Nemenowi wino i uśmiechnął się szelmowsko – to wal się!

Obaj głośno zarechotali. Odpoczywali jeszcze przez jakiś czas. Już w milczeniu raczyli się trunkiem i wpatrywali w ogniska za górami.

***

– Jak się czegoś wystraszysz, zawołaj „mamusiu", a przybiegnę najszybciej, jak zdołam – rzucił przez plecy Darizen, kryjąc się w cieniu. Zniknął w niedużej wnęce, gdzie poszedł za potrzebą. Podobne wnęki i wejścia do niewielkich jaskiń czerniły się na wszystkich ścianach sali, do której doprowadziły ich schody.

Przez pewien czas podróżowali na świeżym powietrzu, po stopniach okalających górę. I choć początkowo niebo nad głową poprawiało im humory, szybko okazało się, że nieprzewidywalny, porywisty wiatr bardzo utrudniał im zadanie, podobnie jak rozbijające się opodal rozgrzane bryły skalne wypluwane przez wulkan. Również stopnie poddane działalności żywiołów panujących na zewnątrz zachowywały się bardziej zdradziecko. Tak więc, gdy przyszło im wrócić z powrotem do wspinaczki wewnątrz komina, Nemena szczerze ucieszyła ta zmiana, wewnątrz niego czuł się bezpieczniejszy. Z czasem jednak komin stał się tak wąski, że mężczyzna z trudem przeciskał się ku górze. Z ulgą przyjął więc jaskinię znajdującą się na drodze i kolejny popas zarządzony przez Południowca.

Dzięki wyjątkowej budowie sali, do której trafili, mogli pierwszy raz od dawna skorzystać z odrobiny prywatności, w zamian jednak musieli radzić sobie z permanentnym wrażeniem, jakby obserwowało ich tuzin nieprzychylnych ślepi. Szlachcic żuł bez apetytu przeklęty suchar i wypatrywał oczy w poszukiwaniu niebezpiecznych kształtów majaczących w czarnych jamach. Każda kolejna pieczara, która dawała im szansę na wypoczynek, stawała się coraz ciemniejsza. Ta, choć niepozbawiona bruzd i pęknięć, nie emanowała już żadnym blaskiem z wnętrza góry. Jedyne światło dostawało się przez szyb, którym się tu wspięli. Było więc mrocznie, a liczne wgłębienia jawiły się Nemenowi wręcz jako portale prowadzące do wnętrza ziemi. Zaraz po dotarciu przejrzeli kilka z nich uważnie, lecz ostatecznie stwierdzili, że zanim wszystkie sprawdzą, będą już kontynuować podróż. Poza tym do dużej części podejrzanych dziur najzwyczajniej w świecie nie mieli dostępu – znajdowały się za wysoko. Odpuścili więc. Teraz Nemen szczerze tego żałował. Liczył też na to, że jego kompan nie zasiedzi się w świątyni dumania, i zamiast na dumaniu skupi się na szybkim załatwieniu sprawy.

Choć nie mógłby przysiąc, miał wrażenie, że dostrzega coś w plamach czerni wiszących nad nim, jakby jakiś ruch, to pojawiającą się, to znikającą amorficzną, odrobinę jaśniejszą sylwetkę. Jeszcze gorsze było złośliwe uczucie, jakby coś wyłaniało się z owych jam chwilę po tym, jak odwracał od nich wzrok. Był nawet pewien, że widzi coś kątem oka, ale nie potrafi sobie uświadomić co mogłoby to być, jak nazwisko starego znajomego tkwiące na czubku języka, tak blisko, a jednocześnie tak

daleko, wymykające się identyfikacji.

Jadł powoli suchar i starał się zachować spokój. Próbował wyłapać jakiś podejrzany odgłos zdradzający niebezpieczeństwo, lecz Góra Ognia aż wrzała od podejrzanych odgłosów – kotłującej się magmy, syczących gazów, wyjącego w szczelinach powietrza.

– Darizen, wszystko w porządku?! – zawołał w końcu. Gdy nie doczekał się odpowiedzi, podniósł się i z duszą na ramieniu zbliżył o kilka kroków do wnęki. – Darizen?!

Zaniepokojony przedłużającą się ciszą, dobył noża, dotknął też trzosa przytroczonego do pasa. Był pewien, że Południowiec przekazał mu skarb, zanim wymknął się na stronę, ale i tak musiał sprawdzić. Artefakt był tam, gdzie być powinien.

Miał ponowić wołanie, lecz właśnie wtedy doczekał się stłumionej odpowiedzi.

– Na Enu – marudził we wnęce Południowiec – sram! Daj mi jeszcze chwilę!

Szlachcic zaśmiał się rozluźniony. I właśnie wtedy coś z przerażającym rykiem runęło mu na plecy. Jak rażony piorunem padł na ziemię. Kark eksplodował bólem, a w piersiach momentalnie zabrakło tchu. Nie zdążył zareagować, gdy coś chwyciło go za nogę i targnęło jak szmacianą lalką w głąb jaskini.

Błyskawicznie zerwał się na nogi. Gotowy był do ataku, lecz zawahał się, gdy zobaczył pędzącą na siebie zielonoskórą górę zębów i mięśni. Szarżujący ork był wyjątkowo okazały nawet jak na standardy swojej niemałej przecież rasy. W ślepiach płonęła żądza mordu, w łapie dzierżył długi, poznaczony zadziorami miecz. W tej chwili nóż błyszczący w dłoni człowieka wydawał się wyjątkowo filigranowy i bardzo, ale to bardzo nie na miejscu. Nemen z trudem przełknął ślinę. Na ugiętych nogach szykował się do uniku. Zielone cielsko z furią pędziło wprost na niego. Basowy, ochrypły ryk wypełniał całą pieczarę.

Gdy ork miał już go dopaść, odskoczył z gracją i daleko poza zasięg przeciwnika… przynajmniej taki był plan. W rzeczywistości, jeszcze zanim wylądował, Zielonoskóry znów chwycił go za kostkę, zawirował nim kilka razy wokół własnej osi i cisnął o ścianę jaskini. Uderzenie wycisnęło resztki powietrza z płuc i wzbudziło mroczki tańczące przed oczami. Tym razem mężczyzna podnosił się znacznie wolniej. Strzelał oczami po dziurawych ścianach jaskini w poszukiwaniu Darizena. Wybawienia nie było jednak nigdzie widać. Musiał radzić sobie sam, bez pomocy „mamusi”. W końcu zabił już niejednego orka… no, przynajmniej tak podejrzewał.

– AAARRRRRHHH! – Rozjuszony ork pędził już w stronę leżącego. Nemen może i był nieustraszonym pogromcom potworów, ale jakoś tego nie pamiętał. W panice zaczął odczołgiwać się do tyłu. Gdzie jest nóż? Gdzie jest nóż?! Przecież nie mógł go zgubić właśnie w takiej chwili!

Dotknął plecami ściany. Przed sobą widział uniesiony wysoko miecz, zębiska długie jak dziecięce przedramię i wściekłość bijącą ze ślepi. Wszystko to, i miecz, i zębiska, i ślepia zbliżało się w zastraszającym tempie, z każdą mijającą chwilą wyraźniej wieszczyły śmierć, a on nie mógł znaleźć tej cholernej broni! Nie miał już gdzie się wycofać. Rozglądał się nerwowo w poszukiwaniu przyjaznego metalicznego błysku, dłońmi jak szalony obmacywał skały. Niespodziewanie ręka zagłębiła się we wnękę. I wtedy ork go dopadł.

Nemen zanurkował pod pędzącym żelazem i wskoczył w mrok. Miecz chybiwszy celu zazgrzytał o skałę, wzbijając w powietrze pióropusz iskier. Ork ryknął jeszcze głośniej, rozgniewany. Zamachnął się jeszcze raz, i kolejny, tnąc ciemność wypełniającą miejsce, w którym skrył się człowiek. Ostrze natrafiało na pustkę. Zielonoskóry sarkał, pluł i złorzeczył w swym kanciastym języku, lecz

pozostawał w sali wypełnionej mdłym blaskiem, nie odważając się podążyć za szlachcicem.

– WYŁAŹ, ROBAKU! – wycharczał, zniekształcając słowa, i ponownie zakręcił młynka w powietrzu na progu nieprzeniknionej czerni. – TYLKO CIĘ WYPATROSZĘ! TYLKO SIĘ ZEMSZCZĘ!

Mężczyzna skrył się w wyjątkowo płytkiej niecce, wcisnął się w najdalszy kąt, a i tak czuł na twarzy powiew świszczącego miecza. Nie czekał, aż zniecierpliwienie wygra w napastniku z rozwagą i ork wkroczy do wnęki. Gdy napastnik nachylił się nieco, by przebić wzrokiem ciemność, Nemen przeszedł do kontrataku. Cisnął w ślepia garść popiołu i wulkanicznego pyłu i kopnął bestię z całych sił w kolano. Zielonoskóry odskoczył od jamy jak poparzony.

– ARRGH! – wył oszołomiony i przynajmniej częściowo oślepiony. Wielkimi paluchami próbował oczyścić palące żywym ogniem oczy. – WYPATROSZĘ!

Nemen rzucił się mu do stóp, złapał go najmocniej jak potrafił za pięty i z całych sił natarł barkami na piszczele. Nim olbrzymi ork zdążył zareagować, leciał już do tyłu na spotkanie z twardym podłożem. Gruchnął z hukiem i rykiem nienawiści. Człowiek w tym czasie poderwał się i kopnął Zielonoskórego w krocze. Następnie chciał zaatakować uzbrojoną rękę wroga, gdyż potwór ciągle dzierżył miecz. Wtem coś błysnęło zimnym blaskiem tuż obok. Mężczyzna rozejrzał się błyskawicznie i dostrzegł, co to. Nieopodal spod popiołu wyzierał jego nóż! I wtedy właśnie coś, jak cios obuchem kowalskiego młota, wybiło mu powietrze z piersi i rzuciło nim na ścianę. Nim stracił przytomność, skonstatował, że to nie kowalski młot, a pięść orka zafundowała mu ten efektowny przelot z twardym lądowaniem. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak bestia dźwiga się do pionu i szczerzy zęby w przerażającym uśmiechu.

Gdy Nemen ocknął się krótką chwilę później, wielki ork stał nad nim. Oddychał ciężko, wyraźnie falując potężną klatką piersiową. Patrzył na pokonanego człowieka spode łba spojrzeniem pełnym obrzydzenia i pogardy. Spomiędzy żółtych, przypominających kły dzika zębów sączyły się wstęgi gęstej śliny.

– TWÓJ KONIEC, ROBAKU! – warknął olbrzym i uniósł miecz z zadziorami nad głowę. Skołowany szlachcic, choć w duchu żegnał się już z życiem, a oczy wbrew woli pokryły mu się taflą łez, wstał jeszcze, zadarł wysoko głowę i spojrzał buńczucznie w ślepia oprawcy. Nagle uskoczył w bok, próbując wyminąć wielką, zieloną postać. Niestety, tym razem ork był czujny i potężną łapą osadził człowieka w miejscu. Głownia miecza wisiała na swoim miejscu, gotowa zadać jeden decydujący cios.

Wtedy jednak coś odczepiło się od sufitu pieczary i runęło na kark Zielonoskórego. To coś było śniade, niewysokie, uzbrojone i w cholernie bojowym nastroju. Ork wrzasnął przejmująco, gdy klinga maczety zagłębiła się w jego bark aż po obojczyk. Niezbornymi ruchami próbował strącić intruza, lecz Południowiec uczepił się mocno i szerokiej szyi, i rękojeści tasaka. Ponowił cięcie, i jeszcze raz, i kolejny. Ork ryczał potępieńczo, aż echem dudniło wnętrze góry, miotał się i słabł. Mimo to zdołał w końcu chwycić Darizena za kurtkę, oderwać od zatopionej w łopatce broni i rzucić o ścianę.

– GAAARRKHAAAM! – warknął i ruszył chwiejnym krokiem w stronę gramolącego się z ziemi mężczyzny, szorując po skalnym podłożu mieczem, który cały czas ściskał w prawie odrąbanej ręce. – GAAARRKHAAA!

Oszołomiony Południowiec z dzwonem huczącym mu pod czaszką popatrywał na zbliżającego się zielonoskórego mętnym wzrokiem. Ork, krwawiący i szurający orężem, zbliżał się nieuchronnie. Był już naprawdę blisko, gdy podbiegł do niego Nemen, wyskoczył i z impetem wbił zakrzywioną klingę w szeroką pierś opancerzoną jedynie pychą i odwagą. Pod ciężarem szlachcica klinga przesunęła się trochę niżej i w bok. Ork przyklęknął na jedno kolano, po chwili do pary dołączyło drugie. Wpatrywał

się gdzieś przed siebie, może w Darizena, może już w drugą stronę, Nemena zdaje się w ogóle nie zauważając.

Na wielkim, odrażającym pysku malowało się niedowierzanie, gdy łapał ostatni haust powietrza i walił się do przodu na pysk.

Bogacz padł tuż obok. Oddychał ciężko, wpatrując się bezmyślnie w strop pieczary.

– Nie mogłeś zjawić się z odsieczą nieco wcześniej? – wysapał.

Darizen wlekł się w jego stronę. Stawiał niepewne kroki i masował obolałą potylicę.

– Mogłem – odpowiedział – ale planowałem ci pomóc, a nie zginąć bohaterską śmiercią.

Podszedł do kompana i bez ceregieli szturchnął go nogą.

– Wstawaj – dodał. – Idziemy stąd. To wielkie bydlę musiało przyleźć tu inną drogą. Nie chcę się przekonać, co może leźć za nim.

***

Darizen odczuł starcie z gigantycznym orkiem bardziej niż chciałby przyznać, i mimo że sam ponaglał ich do jak najszybszego rozpoczęcia wspinaczki, pół głowy pulsowało mu tępym bólem, a wzrok to tracił, to odzyskiwał ostrość. Nemen zaczął bać się o kompana nie na żarty, gdy pierwszy raz to on docisnął do ściany niebezpiecznie odchylającego się do tyłu Południowca. Chwilę później prawie nie zdążył uratować go po raz drugi. Na całe szczęście dostrzegł majaczący nad nim nawis skalny. Z duszą na ramieniu pomógł mu się tam dostać. Nie była to obszerna grota podobna do tych, w których popasali od początku wspinaczki, lecz i tak zapewniała tyle miejsca, aby na spokojnie się rozsiąść, czy położyć.

– Jednak trochę poczekajmy – mruknął Darizen. Oczy same mu się zamykały.

Nie potrafili rozeznać się, jaką mają porę dnia ani ile czasu poświęcili mozolnej wędrówce. Wiedzieli jedynie tyle, że byli potwornie zmęczeni. Wystarczyło jedno porozumiewawcze spojrzenie, by zgodzić się, że dalsza podróż bez choćby odrobiny snu nie ma sensu. Wtulili się w ścianę jak najdalej od krawędzi i posnęli, gdy tylko zamknęli oczy.

Krótką chwilę później. a przynajmniej tak mu się wydawało, Nemen zbudził się. Zobaczył Darizena ćwiczącego na krawędzi nawisu. Rozciągnął mięśnie, zrobił kilka przysiadów.

– Od razu lepiej. – Uśmiechnął się. – No, „Paniątko”, budź się. Czas na poranną gimnastykę.

Nagle powietrze przeszył ostrzegawczy trzask, a fragment podłoża, na którym stał Południowiec, pokrył się pajęczyną pęknięć. Szlachcic rozbudził się momentalnie i poderwał na równe nogi. Było już jednak za późno.

Czas zdawał się zatrzymać. Nemen czuł się tak, jakby brnął po uszy zanurzony w smole. Widział bardzo wyraźnie, jak pod jego kompanem zarywa się skalna półka, jak mężczyzna osuwa się w dół, jak w rozszerzonych źrenicach maluje się przerażanie. Nie był jednak w stanie nic poradzić. Obezwładniony mógł jedynie biernie przyglądać się śmierci towarzysza. A jednak! Organizm szlachcica był szybszy od myśli. Ręka wyrwała się z kokonu ze smoły i pochwyciła nadgarstek Południowca, nim ten zniknął w przepaści. Przez krótką chwilę Nemen nie wiedział, co się dzieje, otrzeźwienie przyszło wraz z potężnym szarpnięciem. Runął na ziemię, pociągnięty przez

spadającego. Mimo że Darizen dyndał już w przepaści, Nemen nadludzkim wysiłkiem zdołał jeszcze przekręcić się na plecy i podkurczyć nogi. Z kucek dźwignąć się już nie dał rady. Rył piętami w chropowatej skale, a za chwilę szorował już po niej grzbietem. Nawet się nie obejrzał i leciał w ślad za tamtym. Rozczapierzył palce wolnej ręki i próbował znaleźć jakiś zadzior, otwór, cokolwiek, co pozwoliłoby zatrzymać tę podróż w jedną stronę. Niestety, biodra i pierś mknęły już w dół. Dłoń osunęła się z krawędzi, stracił dech. W ostatniej chwili zacisnął palce w pięść i ręka utkwiła w wyrwie w kształcie klina. Szarpnęło nim raz jeszcze, tym razem bardzo boleśnie, rozrywając, jak sądził, skórę pod pachą. Jęknął, lecz nie zwolnił uchwytu, a śniady zawisł poniżej, kołysząc się nieznacznie. Był zdecydowanie cięższy niż na to wyglądał.

– Puść mnie, głupcze! – zawodził i nawet szarpał się anemicznie. Nemen nie miał jednak zamiaru go usłuchać.

– Rozbujam cię! – wysapał i począł kołysać towarzyszem. Wiedział, że jeśli tylko Darizen dopadnie schodów, wespnie się po nich jak jaszczurka. Miał tylko wątpliwości, czy ten plan wytrzymają jego stawy i ścięgna.

Choć bujanie szło niemrawo, bogacz miał wrażenie, że na jego ramiona działają przeogromne siły, a każde wychylenie się towarzysza to w jedną, to w drugą stronę wiązało się z przejmującym bólem w przegubach. Gdy już myślał, że jednak się podda i wypuści kolegę, ten krzyknął nagle:

– Teraz!

Nemen bez zastanowienia zwolnił uścisk. Tak jak przewidział, po krótkim locie Południowiec przywarł do wykutych w skale stopni i ze zwinnością godną małpy wspiął się do niego na półkę. Gdy Darizen pomógł wykaraskać się Nemenowi, klapnął ciężko i oparł się plecami o ścianę. Oddychał z trudem, dławiąc się śmiechem, momentami głośnym, momentami bezdźwięcznym, obłąkańczym, takim śmiechem, który jest przypisany jedynie ludziom cudownie ocalonym. Szlachcic przeczołgał się w jego stronę i usiadł obok. Nadal był zbyt przestraszony, by wydobyć z siebie jakikolwiek głos. Uśmiechał się tylko głupkowato i masował obolałe członki.

– No, dobrze – odezwał się w końcu po dłuższej chwili Darizen. – Mam już dość tej chędożonej dziury. Wstajemy, zakasujemy rękawy i rozpieprzamy Czaszkę w tym magicznym ustrojstwie. Choćby skały srały, następny przystanek: szczyt góry! Co ty na to, partnerze?

– Jestem za! – odparł bez zastanowienia Nemen.

Przybili więc piątkę i ruszyli w dalszą drogę.

***

– Jesteśmy! – rzucił uradowany Darizen i pomógł wspiąć się koledze. – Daliśmy radę!

Znaleźli się na krawędzi skalistego kołnierza, obrastającego ze wszystkich stron krater wulkanu. Za sobą mieli przepaść, kilkadziesiąt kroków przed sobą dół kipiący roztopioną skałą, a pomiędzy wyrastało coś, co wyglądało jak piedestał i wielki stół z rynną pośrodku.

Żar błyskawicznie osuszał pot, oślepiał. Huk kolejnych erupcji i zawodzenie wiatru zagłuszały myśli. Zbliżyli się powoli do Ołtarza. Wyglądał, jakby nie wykonało go żadne rozumne stworzenie, a powstał z tężejącej w wymyślny sposób lawy. Rynna celowała w sam środek krateru.

– Czyń honory. – Czarnowłosy wydobył złotą czaszkę z mieszka i wręczył szlachcicowi.

Nemen czuł się idiotycznie. Wpatrywał się w bulgoczący żywioł i miał szczerą nadzieję, że nie trudzili się na próżno, że rzeczywiście nie wystarczyło cisnąć Czaszki gdziekolwiek wcześniej w magmę. Nic w Ołtarzu nie rozwiewało jego obaw. Nie dostrzegł, żadnych mechanizmów, żadnych wyrytych zaklęć, żadnych skrzących się magią kryształów. Nic. Gorące powietrze falowało nad rynną, stanowiącą tak naprawdę szynę celowniczą. Wyglądało na to, że mityczny Ołtarz Zapomnienia jest właśnie tym i niczym więcej, osobliwą prowadnicą. Szlachcic pokręcił głową, utwierdzając się w tym, że cały ich wysiłek był zbędny. Westchnął, zerknął przez ramię na skupionego Darizena. Zważył artefakt w ręku. Ten delikatnie zawibrował, jakby przeczuwał swój nieuchronny koniec. To dodało mężczyźnie otuchy. Bez dalszej celebry umieścił go w rynnie, tym samym wzbudzając kolejny, jeszcze silniejszy dreszcz.

– Raz kozie wio! – Rozpostarł dłoń.

Czaszka potoczyła się w dół, kręcąc się coraz szybciej, to lśniąc polerowaną potylicą, to szczerząc nienawistnie zęby w stronę mężczyzny. Raptem w połowie drogi, wewnątrz rynny rozbłysnął ognisty pierścień, przez który prześliznął się potężny artefakt. I w jednej chwili zamienił się w gładką kałużę płynnego metalu. Złota kropla rtęci spłynęła na spotkanie wulkanu.

Nemen wychylił się, chcąc uchwycić moment, kiedy roztopiony artefakt rozpływa się w magmie. Wtem potężna siła podobna fali tsunami targnęła nim, niemal ścinając go z nóg. Przytrzymał się ołtarza, zapatrzył w kotłującą lawę poniżej. Zdawała się gorętsza i jaśniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Huczała, syczała jak żywe, rozdrażnione zwierzę, odgłosami powoli wypełniając czaszkę mężczyzny. I wtedy wszystko wróciło, lęki, marzenia, wspomnienia. Pod powiekami zatańczyły fragmenty odzyskanego szlacheckiego życia. Zapiekły łzy.

– Garkham – wycedził przez zęby i odwrócił się w stronę towarzysza. Jego oblicze wykrzywiał wściekły grymas. – Ten ork cię rozpoznał, Garkhamie… Zdrajco Ludzi!

Czarnowłosy przytaknął. Stał ze spuszczoną głową i tasakiem opartym o bark.

– Naprawdę mi przykro – wychrypiał.

– Rizen… – Szlachcic zatracał się w nowoodkrytych wspomnieniach. – To ja jestem z Rizen, z osady, której już nie ma, którą wraz ze swoimi orkami wymazałeś z mapy. Wyrżnęliście wszystkich – mówił z coraz większym trudem. – Całe osiedle pozbawione ochrony. Starcy, kobiety i dzieci. Nie dawaliście pardonu. Moja żona, Lumia… pięcioletni Anti i dwuletnia Nina… rozpoznałem ją po znamieniu na rączce.

Nogi odmówiły posłuszeństwa i runął na kolana. Łzy płynęły po policzkach, zasnuwając świat niewyraźnymi smugami w odcieniu polerowanej miedzi. Głos załamywał się i zanikał.

– Jak mogłeś? – Nemen ścisnął skronie dłońmi. Nagły ból chciał rozsadzić mu głowę. – Zabrałeś mi ich wszystkich. Zabrałeś mi ich, Garkhamie Nikczemny… ale teraz… – Dźwignął się do pionu, dobył noża. – … przegrałeś. Zniszczyłem Czaszkę, a ty za chwilę zapłacisz za wszystkie swoje zbrodnie.

– Jestem nikim. Podobnie jak ty. Zrobiłem to, co było konieczne. To, co było mi pisane. Gdybyś to ty dostał taki rozkaz, zrobiłbyś to samo. Nie jestem z tego dumny. Takie są prawa wojny. A my? My poruszamy się jedynie w rytm muzyki bogów, pamiętasz?

Stali naprzeciw siebie i mierzyli się wzrokiem. Wulkan otulał ich czerwonym blaskiem. W powietrzu fruwał pył i żarzący się popiół. Wiatr targał ich odzienie.

– W innym życiu moglibyśmy… – podjął smagły.

Szlachcic pokręcił głową.

– Ale nie w tym – rzekł. – W tym życiu, tu i teraz… – poprawił uchwyt na głowicy broni. Ręka mu drżała. – Teraz zatańczymy.

– Do fałszywej melodii pijanych bogów. – Garkhan wykrzywił usta w marnej imitacji uśmiechu.

I natarł na wroga.

Emil Gieras